

Wojciech Wanat, *Rok w Monarze*

Fragmenty

Coraz częściej spostrzegałem rzeczy, na które byłem na początku ślepy: że ludzie rozmawiają na różne zakazane tematy; że starszyzna chroni się nawzajem; że wiele rzeczy załatwia się po cichu przed społecznością, a w terapeutycznej chodzi tylko o to, żeby sprawę „przyklepać”. Dzień wcześniej prezes mówił o tym, jak X, któryś z pacjentów o długim stażu, złamał jedną z podstawowych zasad. Opowiadał o tym z oburzeniem, ale wystarczyło tylko, że kilka osób zaczęło o tym rozprawiać i sprawa się rozeszła, tak jakby nic się nie stało. Nie bardzo wiedziałem, co to znaczy. W jakimś stopniu byłem jeszcze w stanie, w którym powinienem nosić na piersi kartkę z napisem: „na imię mam Wojtek, jestem w Monarze”, żebym w każdej chwili mógł sobie przypomnieć, kim i gdzie jestem. Teraz wiem, że jest prosty związek między tym, że X pojechał bez wiedzy kogokolwiek do Warszawy i nie poniósł żadnych konsekwencji, a tym, że nie bardzo sobie w życiu radzi, że popała sobie papierosy i nie tylko papierosy, nie mówiąc już o picciu alkoholu. Dla kogoś z ulicy to nie jest żaden problem, dla ludzi po Głoskowie oznacza, że coś jest nie tak.

Niestety, jeśli w sobotę czy niedzielę szedłem do kuchni na pierwszą zmianę, to kiedy koledzy wracali ze szkoły, ja miałem do zrobienia jeszcze dyżurek. Niestety, bo mógłbym w tym czasie spokojnie pooglądać telewizję, czego za bardzo nie lubię, czy z kimś pogadać. Tego dnia jednak dyżurek bardzo dobrze mi zrobił. Miałem ponad półtorej godziny na układanie kurtek na strychu i na myślenie o tym, co jeszcze niedawno wydawało mi się takie oczywiste. Teraz dopiero powoli zaczynałem dostrzegać swoją naiwność. Bo niby dlaczego ludzie po przyjeździe do Głoskowa nagle mieli stawać się aniołami? Jeśli norma jest taka, że większość spraw załatwia się tak, żeby wyszło na nasze, myślę tutaj o normalnym życiu, to dlaczego nagle tutaj, gdzie nie trafiał w końcu kwiat młodzieży, z jakichś powodów miałyby być inaczej? Dlaczego chciałem wierzyć w bezinteresowną życzliwość ludzi? Przecież standard zachowań tam, za bramą, jest zupełnie inny. Jeśli ktoś był dla mnie serdeczny, zastanawiałem się, czy czegoś od mnie oczekuje, czy może po prostu właśnie skończył obrabiać mi za plecami tyłek i stara się to jakoś zamaskować. Było wtedy we mnie sporo złości, ale powtarzanie monottonnych zajęć spowodowało, że jakoś się to wszystko oddaliło. Wierzyłem już trochę w to, że cały system i ideologia Głoskowa są dobre, tylko ludzie nie zawsze są w stanie wprowadzić je w swoje życie. Wcześniej, gdy pierwszy raz poczułem w sobie złość do ludzi, stało się tak, bo wierzyłem naiwnie, że Głosków jest swego rodzaju

doskonałością, a okazało się, że jest tu także drugie, podziemne życie. Z czasem miałem okazję poznać także jego głębsze warstwy. Zrozumiałem także, że aby cały pobyt w Ośrodku miał jakikolwiek sens, tak musi być. Gdyby wszystko było doskonałe, nie można by było błędzić i tak naprawdę nikt nie uczyłby się dokonywać wyborów, nie potrafiliby sprzeciwiać się złu, które jest wokół niego. Po wyjściu z Ośrodka byłibyśmy całkowicie bezbronni.

[...]

Zacząłem na dłużej opuszczać Ośrodek. Nie na spacer czy po to, by pobiegać z kilkoma osobami, ale przede wszystkim na pogadankę z Kochasiem i Michałem na temat narkomanii w internacie w Miętnej. Taki pierwszy kontakt z ludźmi spoza Ośrodka zrobił na mnie spore wrażenie, ponieważ przez kilka miesięcy rano przed dworkiem, kiedy wychodziliśmy na rozgrzewkę, przy posiłkach, na społecznościach widziałem tylko dwadzieścia–trzydzieści twarzy. Cały czas te same twarze. Jasne, że czasem ktoś wyjeżdżał, bywały dni, w które jednocześnie przyjeżdżały trzy czy cztery osoby, ale kilkanaście osób trwało. A tutaj najpierw kilkudziesięciu uczniów, później panie wychowawczynie chcące dowiedzieć się jak najwięcej o tak zwanym problemie.

Dopiero wtedy bardzo mocno przekonałem się o sile tkwiących w ludziach przekonań dotyczących narkomanii. Wychowawczynie były zachwycone naszą oglądą, liczbą potrzebnych do normalnego życia umiejętności, takich jak sprzątanie, gotowanie czy planowanie sobie czasu. Ale jednogłośnie stwierdziły, że nie chciałyby, żeby ich córka miała męża po Głoskowie. Mimo że niby wszystko wygląda tak dobrze, że jesteśmy prawie idealni, to lepiej, żeby z tego rodzaju doskonałości korzystali inni. Bardzo podobnie zresztą dzieje się z osobami, które szukają pracy – kilka tygodni po zatrudnieniu pracodawca pyta, skąd biorą się tacy ludzie – grzeczni, sympatyczni, uczciwi, nie piją, nie palą. A kiedy dowiadują się, że z Monaru, z zasady nie chcą już nikogo z takiego źródła. Dlatego właśnie sporo osób woli ukrywać swoją przeszłość.

Kiedy wychowawczynie zaproponowały nam cukier do herbaty, wszyscy solidarnie podziękowaliśmy. Na pytanie dlaczego, żartem odpowiedziałem, że wiara nam zabrania. Na lekkie zdumienie i przekonanie, że Ośrodek ma coś wspólnego z sektą, zacząłem mówić, że to, co się dzieje w Głoskowie, musi mieć w sobie coś z wiary – jeśli ktoś nie uwierzy, nie jest w stanie cały oddać się systemowi, więc niewiele z pobytu w Ośrodku skorzysta. Czasem ludzie kurczowo trzymają się starych przyzwyczajęń, nawet tych najbardziej banalnych – muzyki, telewizji, jedzenia. Stopień zmian widać właśnie po tym, ilu nowych zespołów muzycznych zaczęli słuchać, jakich nowych autorów zaczęli czytać, czy ciągle oglądają te same programy w telewizji. Trzeba uwierzyć, że aby nie brać, należy także znacząco

przebudować swoje życie. Trzeba wierzyć w Głusków jako jedyną drogę, którą w tym momencie można kroczyć. Bardzo niewielu ma w sobie tak wielką determinację, a może taką siłę, żeby w to wierzyć.

Inna sprawa, że słodzenie herbaty stało się w pewnym momencie także kwestią ideologiczną. Jednym z bardzo ważnych elementów nowicjatu jest asceza, wyrzeczenie. Pewnych rzeczy nowicjusz wyrzec się musi: swoich ubrań, muzyki, zakupów poza najbardziej podstawowymi. Inne może sam ograniczać lub wręcz z nich zrezygnować. Jedną z takich rzeczy stało się właśnie słodzenie herbaty. Taka rezygnacja z pewnych przyjemności i wygody w życiu często jest niezbędna do osiągnięcia sukcesu. I nie chodzi tu o sukces mierzony w złotówkach, sławie czy liczbie znajomych. Takim sukcesem jest zdrowe życie w zgodzie ze sobą i z ludzką przyzwoitością. Trzeba potrafić zrezygnować z wielu rzeczy, żeby prowadzić taki właśnie żywot, ale przede wszystkim trzeba wiedzieć, z czego warto i należy zrezygnować – tego też można było nauczyć się w Głuskowie.

[...]

Przypominałem sobie swoje pierwsze tygodnie w Głuskowie, kiedy wieczorami chodziłem po drewno do drewni i cieszyłem się blaskiem gwiazd i księżyca. Cały czas tłukło mi się wtedy po głowie „Niebo gwiazdziste nade mną...”. Zastanawiałem się, kiedy będę w stanie całkiem szczerze dokończyć to zdanie. Cały czas przypominały mi się różne wypowiedzi, rozmowy z Głuskowa, a nawet te wcześniejsze, takie jak zdanie z *Desideraty*: „Jesteś częścią wszechświata nie mniej niż drzewa i gwiazdy” czy zdania mojego wykładowcy od podstaw chemii, który opowiadając o powstawaniu pierwiastków, doszedł do tego, jak powstawało Słońce i Ziemia. Mówił, że po Wielkim Wybuchu powstały gwiazdy zawierające wodór, hel i nieznaczące ilości litu oraz berylu. Później w tych gwiazdach tworzą się cięższe pierwiastki, aż do żelaza. W pewnym momencie wypala się paliwo gwiazdy, która umiera, a podczas eksplozji takiej gwiazdy powstają pierwiastki cięższe od żelaza, niektóre z nich niezbędne do życia. Z tworzącego się w wyniku eksplozji obłoku pyłu powstają nowe gwiazdy i planety, które dookoła nich krążą. Tak powstały Słońce i Ziemia. By mogło tutaj powstać życie, żebyśmy mogli cieszyć się, kochać i nienawidzić, musiały powstać gwiazdy. Kiedy wieczorem na nie patrzę, zyskuję dystans do tego, co się ze mną dzieje. W porównaniu z resztą wszechświata to jest małe i nieważne, tyle że niestety jesteśmy właśnie tutaj i dlatego bardzo trudno jest wyjść na elipsę i popatrzeć na nasze życie w taki oto sposób.

Dla większości osób to, czym wciąż się fascynowałem, czyli szeroko pojmowane nauki ścisłe, było tylko niepotrzebnym balastem, czymś, czego nie wiadomo po co wymagali nauczyciele. Nie potrafili dostrzec w tym piękna. Było zresztą tak jak w wierszu Bursy

Sylogizm prostacki – jeśli coś jest za darmo, nie jest piękne. Gdy jeszcze trzeba wkładać w coś wysiłek, to na pewno nie jest piękne.

Kłopoty sprawiało mi też dostosowanie się do standardowego sposobu spędzania czasu wolnego. Kiedy większość miała ochotę się opalać, ja chowałem się w cieniu i czytałem, czasem podsypiałem, bo nad staw czy na glinianki jak wszyscy szedłem w stroju sportowym, a więc mogłem się w nim położyć i spać. Robiłem to, chociaż nie miałem już tylu obowiązków, wstawałem mniej więcej ze wszystkimi, więc niewyspanie nie stanowiło dla mnie problemu. Ale opalanie owszem. Po pierwsze wygląd nigdy nie był dla mnie specjalnie ważny, więc poświęcanie mu czasu, leżenie plackiem i czekanie, aż słońce zrobi swoje, wydaje mi się trochę bez sensu. To byłaby tylko gra pozorów. Tak jak stwierdził Andrzej, nie jestem paskudny i to mi już wystarcza. Poza tym nie jest to specjalnie zdrowe. Przez lata trener powtarzał mi, że słońce zabiera siły, i ja nadal w to wierzę. Promieniowanie ultrafioletowe, które opala, jest bardzo dobre do dezynfekcji narzędzi chirurgicznych, ale dla człowieka tak średnio.

W tym czasie wiele dawały mi rozmowy z Benkiem, moim opiekunem z nowicjatu. Tak wyszło, że nawiązana wtedy nić porozumienia i sympatii umacniała się z czasem. Benek skończył już pełny cykl i po ocenie z aspirantury zamierzał jeszcze skończyć szkołę w Garwolinie. Bardzo często ludzie, którzy kończyli Ośrodek, zostawali w nim na dłużej jako monarowcy. Dla nich samych było to przedłużenie terapii, dla Ośrodka – wsparcie. Swoim przykładem, a także tym, co mówili, wspierali pracę terapeutów. Bez zgody społeczności mogli na dłużej opuszczać Ośrodek. Powoli budowali sobie normalne życie na zewnątrz.

Benek po powrocie z dłuższego wyjazdu cieszył się tym, jak tam żył. Stwierdził, że teraz właściwie codziennie radośnie budzi się ze świadomością, że czeka go coś dobrego, coś, co sprawi mu uciechę i posunie go do przodu. Ja także miałem podobne przeświadczenie. Bałem się jeszcze o tym mówić, ale było to po mnie widać. Właściwie przez cały czas uśmiechałem się. Jeśli zdarzały mi się dni, w które wyglądałem tak, jak wszyscy, z zasady pytano mnie, czy wszystko w porządku, czy nie mam jakiegoś kryzysu. Nie chciałem o tym mówić głośno, bo już dostatecznie irytowałem ludzi swoją odmiennością. Gdybym jeszcze zaczął chwalić się, jak mi dobrze z tym, że jestem inny, i być może z tego właśnie wynika moje zadowolenie, moja codzienna radość, to dla wielu osób byłoby to już zbyt wiele. Zresztą byłem pewny, że jedynie na własnym przykładzie, czyli układając wszystko w Ośrodku i później tak, jak trzeba, mogę ludzi przekonać do tego, że moja droga jest dobra.

Pod koniec okresu, kiedy chodziłem w drelichu, pojawiła się sprawa, która w jakiś sposób zaburzyła mój wewnętrzny spokój. Gospochem był po mnie Pirek, chłopak z duszą

artysty, ale też bardzo mocno odbiegający od normy Głuskowa. Wiele rzeczy robił ponad standard, ale jednocześnie nie potrafił zapanować nad podstawowymi obowiązkami gospodarza. Czasem w dworku panował, delikatnie mówiąc, chaos. Kroplą, która przelała jednak kielich goryczy, były dyżurki. To, co dawał ludziom na dyżurek poza dworkiem, zajmowało im czasem dwie godziny, podczas gdy standardem było czterdzieści pięć minut. Niesamowicie denerwował mnie fakt, że osobą, która najbardziej burzyła się na to, był chłopak, który pełnił funkcję gospocha podczas mojego nowicjatu. A wtedy ja też kilka razy robiłem dyżurki po dwie godziny. Taka mała hipokryzja.

To był zresztą jeden z moich problemów w tym czasie i do dziś nie wiem, jak powinienem był się zachowywać w takich sytuacjach. Właściwie przez cały czas dostawałem informacje od ludzi, którzy sami popełniali podobne albo nawet znacznie poważniejsze błędy. Nie wiedziałem, czy mówić o tym, co robią źle, bo jeśli kilka dni po mojej ocenie, na której nasłuchiłem się od nich różnych kiepskich rzeczy, sam zacznę wytykać im błędy, mogą poczuć, że odgrywam się na nich, że się z nimi konfrontuję. Jeśli natomiast nie powiem o rzeczach, które widzę, to znaczy, że odwracam głowę, że jestem nieuczciwy. Postanowiłem milczeć. Mimo to bardzo często podczas społeczności słyszałem, że konfrontowałem się z przeciwnikami.

Na mojej ocenie zachwiała mną tylko jedna rzecz – to, że Mecenias, który jeszcze kilka dni wcześniej twierdził, że jedynie kadry należy słuchać, bo tylko tworzący ją ludzie nie są tutaj pacjentami psychiatrycznymi, na społeczności powiedział, że nie powinienem chodzić do kadry i wyjaśniać sobie tego, co na ocenach słyszę od ludzi. Wiedziałem, że to bzdura, ale na skutek jego uwagi praktycznie do końca pobytu w Głuskowie nie rozmawiałem z kadrami na temat swoich ocen. Inna sprawa, że było to bardzo charakterystyczne dla Ośrodka zachowanie – co innego poza terapeutyczną, co innego na społeczności.

[...]

ZAKOŃCZENIE

Nie jest to koniec mojej historii z Głuskowem, bo wciąż jeszcze do niego wracam – od ostatniej mojej oceny, a minął już od niej rok, w sumie spędziłem w nim około czterech miesięcy. Zresztą nawet gdybym do niego nie wracał, to i tak cała historia zaczęłaby się w momencie skończenia terapii.

Czy mogę powiedzieć: „jestem byłym narkomanem”? Czy kiedykolwiek można powiedzieć coś takiego? Andrzej twierdzi, że ktoś, kto skończył swój pobyt w Głuskowie, kto

wszystko robił uczciwie, nie jest już narkomanem. Może położyć się na polu maku, posypać heroiną, rozrzucić dokoła siebie kilka strzykawkę z kompotem – i nic. Jeśli chodzi o tego rodzaju bodźce, to zapewne ma rację, bardzo dobrze, bo nie sposób nie natykać się w normalnym życiu na narkotyki. Jednak tu chodzi o coś więcej – narkomania to także pewien sposób życia. Osobom, które brały i znają prostą drogę ucieczki w momencie, kiedy coś w ich życiu jest nie tak, łatwiej jest z niej skorzystać. Nie mam tu na myśli trudności, bo w życiu musi być trudno, bo zawsze znajdują się jakieś przeszkody. Mam na uwadze złe decyzje, które powodują, że człowiek zaczyna wchodzić w kompromisy, drobne nieuczciwości. To wszystko z czasem narasta i zaczyna coraz bardziej ciążyć. Dlatego wyjeżdżając z Głuskowa, wiedziałem, że muszę być na sto procent skupiony na tym, co robię, na posuwaniu swoich spraw do przodu, że nie nadszedł jeszcze czas na wakacje – właśnie wracałem z dwuletnich wakacji. Byłem przekonany, że muszę się rozwijać. Dlatego też uważałem, że cała ta historia wcale się nie kończy, ona dopiero się zaczyna.

Zresztą to, czy można stać się byłym narkomanem, mogłem przećwiczyć, gdy przez jakiś czas mieszkalem z parą czynnych narkomanów. Najważniejszym, najbardziej rzucającym się w oczy wyznacznikiem był ich styl życia. Nawet jeśli przez jakiś czas utrzymywali abstynencję, nieustannie pozostawali pasożytami – mimo że jedno z nich było zatrudnione, żyli na koszt rodziców. Właściwie wszystko, co robili, oparte było na mniejszych lub większych kłamstwach. Choćby to, że mój współlokator uwił sobie gniazdko z dziewczyną, mimo że jego właściwa partnerka pojechała do pracy do Anglii. Był przekonany, że kiedy wróci ta właściwa, wszystko da się tak ułożyć, że ona o niczym się nie dowie. Jak na zagorzałego katolika, to całkiem niezłe. Zresztą oboje okłamywali wszystkich – rodziców, szefów, a przede wszystkim siebie. Kiedy myślę, że też byłem kimś takim, współczuję moim bliskim i dziwię się rodzinom narkomanów – dziwię się, że tak trudno jest im pozbywać się ich z domów, mimo świadomości, że pomagają im brać. Jeśli matka utrzymuje biorącego syna, godzi się na to, że zaoszczędzone dzięki niej pieniądze ten wyda na ćpanie. Owszem, tym, którzy brali, ciężko jest wyjść z nałogu i zacząć normalne życie, ale prawdziwe ofiary to rodziny.

Zapewne mam w tej sprawie pewną ostrość widzenia określaną czasem jako gorliwość neofity. Rzeczywiście dla wielu osób to, że ktoś kłamie, wykorzystuje innych czy jest egoistycznym chamem, to nic specjalnego. Tak się robi z lenistwa, ze słabości albo dla doraźnych korzyści. Do przeciętnego poziomu tego rodzaju zachowań u większości ludzi zdążyłem się już przyzwyczaić, ale w takim nagromadzeniu, jak u osób uzależnionych, to naprawdę rzadkość. W kontaktach z takimi ludźmi nie pomogło mi to, że w jakiś sposób

patrzac na nich, wciaz widzialem siebie. Czulem takze zlosc, wstyd, ze ja tez taki kiedyś bylem.

W tym momencie powraca pytanie, czy jestem byłym narkomanem, czy narkomanem, który utrzymuje abstynencję? Niby nie zachowuję się już jak narkoman i mam nieco inny sposób myślenia, ale gdybym miał jakieś kontakty z narkotykami, mógłbym popłynąć. Wolę myśleć o sobie, że jestem narkomanem – mniej wtedy będę sobie odpuszczał, a bardziej pracowałem nad sobą, swoim życiem. Pojawia się też pytanie, czy jestem całkowicie wolnym człowiekiem? Przecież jest ileś różnych rzeczy, których robić mi nie wolno. Nie wolno mi brać narkotyków, mimo że wiele osób bierze i uważa, że wszystko w ich życiu jest w porządku. Prawda jest nieco bardziej skomplikowana. Wszystko, co robię w życiu, wynika z moich własnych, osobistych wyborów. Jestem całkowicie wolny, bo jestem gotowy ponieść konsekwencje wszystkich swoich zachowań. Kiedy mój współlokator zdradza swoją dziewczynę, jest przekonany, że jego związek może rozpaść się tylko dlatego, że ona się dowie, a nie dlatego, że on ją okłamuje. To takie typowo narkomańskie myślenie – zrzucanie na kogoś odpowiedzialności za swoje życie. Zawsze staram się w sobie szukać przyczyn różnych swoich niepowodzeń.

Przy okazji częstych kontaktów z moimi współlokatorami znalazłem granicę stosowalności metod, których nauczyłem się w Głoskowie. Nie chodzi mi tu o odmienność sposobu patrzenia na świat czy o różnicę pomiędzy wyznawanymi wartościami. Jeśli ktoś ma inny styl bycia, ale żyje w zgodzie z własnymi zasadami, zawsze można jakoś poukładać sobie z nim relacje. Jednak jeżeli ktoś mówi co innego, robi co innego i nad niczym się nie zastanawia, to nie da się z nim budować żadnych relacji. Jasne, że nie ma powodu ze względu na takich ludzi rezygnować z własnych reguł, ale nie należy, opierając się o siedem nawyków, budować z nimi relacje – w takim przypadku szukanie w sobie wad, unikanie konfrontacji czy korzystanie z różnic nie ma sensu. A to dlatego, że nie ma relacji. Jeśli mój partner jest zainteresowany wyłącznie osiągnięciem korzyści, to nie będzie się między nami nic specjalnego działo. W takich sytuacjach pozostaje jedynie uczciwość i budowanie ściany.

Moi współlokatorzy nauczyli mnie jeszcze jednej rzeczy – że tak naprawdę istnieją dwie kategorie ludzi określanego słowem „narkoman”. Jest to czynny, biorący narkoman oraz zaleczony narkoman, czyli ten, który ukończył terapię. Jeśli ktoś nie przeszedł przez kurs życia, jakim jest terapia, to jedynie czeka go kolejny ciąg, który z pewnością będzie dłuższy i cięższy od poprzednich. Problem jest nie w tym, czy ktoś bierze, czy nie, ale w tym, jak żyje. Są ludzie, którzy nigdy nie brali, a zachowują się jak stuprocentowi narkomani.

Przez cały czas w Głoskowie mogłem ładować się dobrymi emocjami, kumulować w sobie swego rodzaju siłę. Jeśli coś było nie tak, zawsze mogłem z kimś pogadać czy choćby wyjść przed dworek i posłuchać ptaków. Samo bycie w tamtym otoczeniu daje pewną moc. Teraz jestem zdany już tylko na siebie i swoje możliwości. U Coveya jako ostatni siódmy nawyk wymienia się ostrzenie piły, czyli zasadę samoodnowy. Wiedziałem, że jeśli nie zadbam o zachowanie najważniejszych rzeczy wyniesionych z Ośrodka, bardzo szybko będę miał problemy. Życ w zgodzie z własnymi zasadami jest bardzo trudno, szczególnie poza Głoskowem, bo tam do dyspozycji miałem całą społeczność, która patrzyła mi na ręce i w ważnych momentach mogła zauważyć, że dzieje się ze mną coś złego. Teraz mogę polegać już tylko na sobie. Muszę sam zauważać, że coś jest nie tak, i reagować na to.

W trudniejszych chwilach wraca to wszystko, czego zacząłem się uczyć w Głoskowie. Zastanawiam się, co by na to, co mnie dręczy, powiedziała Ela, przypominam sobie zdania wypowiedziane na społeczności przez Jasia lub Andrzeja. Czasem wraca jakieś niezłe szyderstwo Wojtasa. Na najczarniejsze chwile mam słowa, które po mojej ostatniej ocenie wypowiedział Andrzej: „Zdaje się, że wreszcie dochowaliśmy się absolwenta z krwi i kości”.

W tak zwanej codzienności moje życie niespecjalnie różni się od tego, co robiłem w Głoskowie – też gotuję, sprzątam i chodzę do pracy. Czytam książki, biegam, słucham muzyki. Raczej nie oglądam telewizji – nie chcę mieć w domu takiego mebla jak telewizor, filmy oglądam w kinie. Wszystko staram się robić z taką samą starannością jak w Głoskowie. Czasem słyszę głos Kotana – „żeby wyjść z narkomanii, trzeba być mistrzem świata”. Wiem, że ciągle muszę być mistrzem świata we wszystkim, co robię.

A jeśli coś jest nie tak? Jeśli coś sobie odpuszczę? No cóż, to trochę tak jak na odprawie – pojawia się głos: „nie rób tego więcej”. Nie staram się nadrabiać straconego czasu, uczę się tylko pełniej korzystać z każdego dnia, z każdej chwili. To nie znaczy, że odczuwam potrzebę wypełnienia każdego dnia pracą albo inną aktywnością. Jest czas na intensywną pracę, na cieszenie się światem, życiem, muzyką, na bycie z bliskimi mi osobami. W Głoskowie Andrzej poradził mi, że powinienem jak najwięcej energii poświęcić na budowanie relacji z innymi, bo z tym miałem najwięcej kłopotów. Wyszło jednak tak, że teraz tym, co najlepiej mi się udaje, jest właśnie to, jak żyję z moimi, nielicznymi zresztą bliskimi. Nie potrzebuję już poklasku i dziesiątek osób zachwyconych tym, jaki jestem wspaniały. Może ilość osób, z którymi się spotykam, zmniejszyła się, ale z całą pewnością podniosła się jakość tych kontaktów.

Czasem tylko żałuję, że nie da się wszystkiego robić tak, jak uczyłem się tego w Głoskowie, że czasem nadal zbyt silnie reaguję na różne sytuacje, że zdarza mi się pod

wpływem impulsów podejmować decyzje. Czasem jestem po prostu słaby, ale dzięki temu cały czas mam nad czym pracować. Moje życie może stawać się coraz pełniejsze.

Czy mogę powiedzieć, że część z osób, które spotkałem w Głoskowie, skończyła źle, a inni dobrze? Bardzo łatwo jest stwierdzić, że ktoś popłynął, że bierze albo pije alkohol. Wtedy odpowiedź jest ewidentna – tym się nie udało. Nie potrafiłbym jednak przyznać, że mnie się udało albo że ktoś tam odniósł sukces. Za kilkadziesiąt lat, kiedy już będę stary, być może będę w stanie powiedzieć, że uzależnienie nie stanowi już dla mnie takiego problemu, że już się od niczego nie uzależnię. Na razie muszę pracować i cieszyć się każdym dniem. Tak właściwie to nic nie muszę, ja chcę cieszyć się każdym nowym dniem.

Gruby i Gabi wzięli ślub i układają sobie życie, Kudłaty kilka miesięcy po wyjściu mieszkał u mojej mamy. Mój opiekun, kiedy już skończyłem pobyt w Głoskowie, przyznał się, że przez cały swój pobyt kłamał – łamał abstynencję podczas przepustek. Pojechał do domu. Podobno daje sobie radę. Carlos, który wyjechał po półtora roku, chodzi do szkoły w Garwolinie i wszystko jest jak na razie w porządku. Turek przyjechał na kolejny turnus, kiedy byłem kierownikiem SOM-u. Po kilkunastu miesiącach wyjechał za zgodą społeczności, ale jest w dobrych rękach. Czarny też nieźle sobie radzi – chociaż jak wiele innych osób ma jeszcze wiele do zrobienia.

Pod tym względem wielu monarowców jest w trudniejszej sytuacji niż ludzie, którzy samowolnie opuszczają Głosków, ale mają przebłycki rozsądku. Tym pierwszym może wydawać się, że wszystko już mają opanowane i właściwie nie muszą już nic ze sobą robić. Szkoda tylko, że bardzo rzadko zdarza się, żeby ktoś wyjeżdżający rzeczywiście kierował się rozumem.

Kiedy ktoś opuszcza Głosków po ukończeniu terapii, zwyczajowo żegna się go i na koniec dostaje on jakąś pamiątkę. W dniu mojego wyjazdu odbyła się mała uroczystość – było ciasto, ciepłe pożegnanie, ale na pamiątkę musiałem poczekać kilka dni. Po ponad tygodniu pamiątka sama przyjechała do mnie. Ma na imię Kasia i jest teraz moją żoną oraz matką mojego dziecka – mam nadzieję, że w przyszłości będzie matką moich dzieci.

W Głoskowie nie wolno tworzyć bliskich związków, więc trzymałem się od niej na dystans i wyjeżdżając, zapowiedziałem, że jeśli nie skończy pełnego cyklu, to nie chcę jej widzieć na oczy. Wpadła tylko na chwilę, by powiedzieć, że u niej wszystko w porządku. I tak weszła z torbami do mojego życia. Niektórzy twierdzą, że to taka pamiątka, inni, że ostatnie dociążenie. Wszyscy są w jednym zgodni – na całe życie. Mam nadzieję, że mają rację.